

ABECADŁO PAŁKIEWICZA

Ostatnim rzutem na taśmę zdążyłem poznać krainy, które były w stanie zapewnić emocje znane Magellanowi, Marcowi Polo czy Beniowskiemu - wspomina znany odkrywca

Świat, który przemija



JACEK PAŁKIEWICZ

A jednak. Dziewięć lat temu Reinhold Messner wyznał mi, że skończył sześćdziesiątkę i powoli będzie składać broń. „Nie mam już tej samej siły, sprawności i wytrzymałości. Chcę tylko zaliczyć jeszcze pustynię Gobi”, powiedział przed wyjazdem do Mongolii. Jestem od niego starszy o dwa lata, ale jeszcze wtedy takie myśli mnie nie nawiedzały. Dziś, świadom ograniczeń fizjologicznych, zaczynam się powoli godzić z wiekiem. Przypominają też mi o tym uczestnicy spotkań autorskich. Kiedy na emeryturę? - pytają. Staram się tego nie rozważać, bo nie opuszczają mnie wrodzona dociekliwość i obsesyjny głód świata. Ponadto nie mogę liczyć na państwowe świadczenia pieniężne. Pomimo ponurych myśli nie zamierzam rezygnować z zawodu przynoszącego satysfakcję i z pasją przygotowuję się do kolejnej podróży. Tym razem w dzikie ostępy Nowej Gwinei, by ostatnim rzutem na taśmę zdążyć jeszcze przekroczyć granicę znanego świata.

Bhutan. Dla podróżnika na wielbłądzie świat pustyni się nie zmienił, podobnie jak dżungla oglądana z indiańskiego czółna czy Bhutan z grzbietu jaka. W takiej wiktoriańskiej atmosferze smak przy-

gody jest bardziej intrygujący i zdecydowanie ostrzejszy. Wiele miejsc przechodzi nieuchronnie do historii. Jeszcze niedawno w zatoce Ha Long pływałem tradycyjną dżonką. Dzisiaj tamtejsi rybacy przesiedli się na praktyczniejsze kutry motorowe. Na rzece Jangcy poznałem urok żeglownia sampanem, który obecnie zamieniono na komfortowe statki pasażerskie. Nie zapomnę słynnych na tej arterii wodnej Trzech Przełomów, schowanych teraz pod wodą z powodu gigantycznej tamy. Widziałem jeszcze dawny Związek Sowiecki i otwartość duszy rosyjskiej, na Kamczatce jadłem tylko kawior, bo nie było innych produktów spożywczych. Nawet piękno Czarnego Łądu poznałem takie, jakie teraz można zobaczyć tylko w filmach „Śniegi Kilimandżaro” czy „Pożegnanie z Afryką”.

Chamskie zdrowie. To rezultat systematycznego uodporniania organizmu na prażące słońce, dręczące pragnienie, głód, przejmujące zimno, gorąco, zmęczenie, które są nieuniknioną częścią wypraw. W trakcie ich odbywania bezwzględnie przestrzegam podstawowych zasad higieny, a już szczególnie dbam o to, aby ręce były czyste. Częste mycie to pozbycie się nie



tylko brudu, ale przede wszystkim tysiąca mikrobów. Chyba tylko dwa razy w krajach o niskim poziomie higieny miałem problemy z „kłątwą faraona”, biegunką podróżnych, a przecież zatrucie pokarmowe nęka co drugiego turystę. Rygorystycznie podchodzę też do higieny przygotowywania posiłków, unikam potraw surowych, sałatek, nieobronnych owo-

ców, dań przyrządzanych na ulicy, lodu dodawanego do napojów i piję wyłącznie napoje w fabrycznie zamkniętych butelkach lub uzdatnioną wodę.

Drastyczna zmiana. Świat egzotyczny kurczy się w sposób jaskrawy, przemieszczamy się szybciej, globalizacja zmienia życie w każdym za-



kątku globu. Osobiście nie mogę narzekać, powiodło mi się w życiu. Zebrałem niezapomniane wspomnienia, spotykałem tubylców, którzy przeszli już do historii, dotykałem zakątków, które były w stanie zapewnić emocje znane Magellanowi, Marcowi Polo lub Beniowskiemu. Żyłem pełną piersią i niczego nie żałuję, bo jak napisał Marcjalis, poeta rzymski

z I w. n. e.: „Kto potrafi z przyjemnością przeżywać przeszłe czasy, to tak jakby żył dwa razy”.

Egzotyczne programy biur podróży wciąż przyciągają uwagę. Nie brak w nich wzmianki o wzbudzających dreszcz ekscytacji potomkach tajemniczych kanibali. O sensacyjnym wydarzeniu skonsumowania

Michaela Rockefellera, syna ówczesnego gubernatora Nowego Jorku, rozpisywały się wszystkie światowe agencje. O praktykach antropofagii jeszcze do niedawna opowiadali misjonarze, czym podsycali demoniczność zachowania tuziemców. Relacje te budzą wątpliwości, bo ustne, podane zniekształceniom przekazy bywają zwykle zwodnicze. Dzisiaj

nikt już nie potwierdza tego procederu. Uważam, że fama o okrutnych kanibalach jest podtrzymywana wyłącznie na potrzeby przemysłu turystycznego.

Fotografie. Jeszcze nie tak dawno woziłem ze sobą ważącą 10 kilogramów torbę z kompletem obiektywów i do chwili powrotu do domu nie byłem

życie i nauka

→ pewny jakości zdjęć. Dziś zabieram ze sobą tylko Fujifilm X-S1, prawie lustrzanekę z mocnym zoomem. Taki niezwykle uniwersalny sprzęt dobrze spisuje się w każdych warunkach.

GPS. Dzięki systemowi nawigacyjnemu GPS i telefonowi satelitarnemu od dawna płacę niższe składki ubezpieczeniowe, bo mniejsze jest prawdopodobieństwo zgubienia drogi. Taki telefon nie różni się dzisiaj od komórki, a jest niezawodny, bo posiada nieograniczone, globalny zasięg i zapewnia niezawodną łączność z całym światem. Ja korzystam z systemu Inmarsat, który nie dociera tylko do okolic podbiegunowych i w którym za połączenia płacę tylko jednego dolara za minutę.

Humboldt. Ponad dwa stulecia temu ojciec współczesnej geografii Alexander von Humboldt opisał kuriozalny fenomen kanału Casiquiare łączącego dwa ogromne systemy rzeczne – Orinoko z Amazonką. Podróżowałem jego śladem indiańską pirogą i było to jedno z najcenniejszych doświadczeń w życiu. W pamięci zostało wiele smutnych obrazów z egzystencji Janomami. Agresja człowieka, eksploatacja minerałów i ropy, kolonizacja rolnicza, budowa dróg spowodowały, że Indianie zupełnie zatracili swoją osobowość i tradycje.

Jelcyn Borys. Mówią, że jestem nieugięty i jak trzeba, to uderzę pięścią w stół. Nic dziwnego, że potem człowieka szanują. Potrafię się odzegnać od kompromisów, nawet takich, które mogłyby zaważyć na mojej karierze. Ryzyko zawisło nad kierowaną przeze mnie w 1994 r. ekologiczną misją kosmonautów. Wspierani przez Borysa Jelcyna chcieliśmy zwrócić uwagę świata na chorobliwy stan zdrowia naszej planety. Śmigłowcem dowieziono nas nad rzekę Tajmura w Ewenkijskim Okręgu w zachodniej Syberii. Podczas rozładunku bagażu doszło do niebezpiecznego spięcia z bohaterami kosmosu. Jeden z nich zabrał ze sobą dwie skrzynki Stolicznej. Kazałem je odnieść do helikoptera, co napotkało duży opór. Skruszony winowajca postanowił się jednak poddać i odnieść alkohol. Jednak ktoś z drugiej strony, przez bulaj, odbierał butelki. Kiedy zareagowałem, amator silnych trunków padł

na kolana: „Pozwól przynajmniej na jedną skrzynkę”, błagał. Byłem nieustraszony i zanosilo się na rewoltę. Pozostałem jednak przy swoim i wygrałem. Po przeprosinach atmosfera wróciła do normy.

Komputeryzacja. Zegary w dobie komputeryzacji bezlitośnie przyspieszyły rytm naszego życia. Z oczami skierowanymi na wskazówki chronometrów ciągle się gdzieś śpieszymy. Nie możemy się obyć bez komórki i nie nadążamy za wszystkim, nie ogarniamy, co wokół nas się dzieje. Komunikacja elektroniczna wnosi cały świat do naszego domu i nie jesteśmy w stanie wszystkiego przetrwać. Bombardują nas reklamą, ogłupiają prostakimi obrazkami telewizyjnymi.

moralnych i przyjaznych relacji z ludźmi. Zwyciężają najsilniejsi psychicznie i najbardziej drapieżni w swych decyzjach.

Luang Prabang. Zawsze urzekały mnie Indochiny, kolonialne imperium francuskie otoczone mitem egzotyki, swobod moralnych i błogiej egzystencji na łonie klimatu monsunowego. Tych Indochin nie znajdzie się już na mapie świata, ale zagadkowy czar ostatniego egzotycznego świata obecny jest jeszcze w Luang Prabang. I tam nieraz wracam. Dawna stolica Laosu jest jednym z najbardziej romantycznych i niezwykłych miejsc tego ostatniego zakątka XIX-wiecznej Azji, tak bliskiej sercu Josepha Conrada czy Rudyarda Kiplinga.

że francuska przeszłość kolonialna, wtopione w bujną przyrodę odrestaurowane w odcieniach żółci wille w palladyjskim stylu czy stoiska z bagietkami prosto z pieca lub kremowe, nugatowe lody przypominające te, które jadalem w paryskiej restauracji.

Media. Jako dziennikarz nie zostawiam suchej nitki na moim środowisku. Cywilizacja medialna, propagując zły smak i trywialne treści, sięgnęła dziś dna. I wcale nie mówię o tabloidach żerujących na plotkach i taniej sensacji. Stało się normą wynoszenie na ołtarz gwałtu, krewstwa i politycznych brudów. Mass media ochoczo serwujące rynsztokowe śmieci, niedorzecznie szczegółowo udokumentowa-



Nieńcy, rdzenni mieszkańcy północnej Syberii, piją krew zabitego renifera

Rytm przemian, które objęły wszystkie dziedziny naszej egzystencji, oraz planetarna ewolucja zachowań społecznych sprawiają, że jesteśmy skazani na nieustanny wyścig. Jaki tylko ktoś się zatrzyma, traci pozycję, wypada na boczny tor i jest pozbawiony warunków egzystencji. Żądza pieniądza robi swoje. Okrutne i surowe prawa dżungli, w których dominują mechanizmy zmuszające człowieka do ciągłej walki o przetrwanie. Do zaprzędania swoich ideałów, pozbawienia się własnej tożsamości, do pozbycia się uczuć, waleńców

Pozostały tu jeszcze atmosfera nieuchwytnego melancholii, aromat kadzidel, zapach opium płynący z nielegalnej palarni oraz czar idyllicznego pejzażu żywcem wyjętego z dawnych sztychów. Zachwycają ulotny czar stup kąpanych o świecie w różowej poświacie, złote kopuły pagód połyskujące w świetle księżycy czy też codzienny spektakl uroczystego szyku buddyjskich mnichów. Nie sposób zapomnieć bajecznego zachodu słońca nad Mekongiem zalewającego niebo magicznym blaskiem złota. Dotykalne są tak-

ne tragedie, a nawet stworzone fakty zniewalają i ogłupiają. W zależności od protektora swoimi manipulacjami kreują bohaterów albo niszczą czyjeś kariery. Dochodzi do dziwnego pomieszania wartości. Złodziejom często wystawia się pomniki, a tych, którzy ich pojmali, stawia się pod sąd.

Nowe nazwy geograficzne nigdy nie będą miały dla mnie takiego uroku jak dawne, pełne magii i tajemniczości terminy będące w stanie pobudzić wyobraźnię. W mojej pa-

życie i nauka

mięci na zawsze pozostanie Sajgon, chociaż dzisiaj nazywają go Ho Chi Minh, podobnie jak Ceylon, czyli Sri Lanka, albo Syjam, a nie Tajlandia, Birma, a nie Myanmar. Na starej mapie Mauretanii widoczny jest Port Etienne, teraz nazywany Nouadhibou, w Algierii Fort Charlet przemianowano na Djanet, a Fort Laperrine na Tamnasset. Natomiast Fort Lamy w Czadzie nosi nazwę Ndżamena, a Villa Cisneros na wybrzeżu, które było Saharą Hiszpańską, przemianowano na Dakhla. Niewielka Gwinea Portugalska obecnie zwie się Gwinea Bissau, Dahomej przemienił się na Benin, Górna Wolta na Burkina Faso, Rodezja Południowa na Zimbabwe, Republika Środkowoafrykańska nieoczekiwanie została Cesarstwem Środkowoafrykańskim.

Omega. Nigdy nie przejawiałem upodobania do rytuału kupowania, wystawności i wydatków ponad stan. Nie zmieniam co roku samochodu i nie mam wielkich wymagań. Przepych czy komfort nigdy mnie nie uszczęśliwiały, chociaż mam kilka drobiazgów będących wyznacznikiem splendoru. Na przykład Omegę i służące do podpisywania książek pióro wieczne Parker ze stalówką z 18-karatowego złota. Kiedy skończyłem 50 lat, Linda wymogła na mnie, abym dbał o swój wizerunek. Używam zawsze dezodorantów oraz dobrej wody po goleniu, kiedy jest wskazane, noszę dobrze dobrany krawat, mam zwykle przy sobie dobrze pasującą do wizerunku eksploratora teczkę retro. Przywiązuję też wagę do garderoby na wyprawach. Nawet w upalnych tropikach nikt nie zobaczy mnie w stroju turystycznym, czyli szortach i sandałach. Nie śledzę trendów i mód, a na ekspedycje zabieram ubranie funkcjonalne, odpowiadające regułom sztuki podróżowania i higieny. Nie rozstaję się z przypominającą okres kolonialny saharią, praktyczną kurtką safari koloru khaki z nakładanymi kieszeniami, naramiennikami i paskiem.

Pasja. Zawsze twierdziłem, że bez pasji trudno jest myśleć o ambitnych podróżach, gdzie trzeba stawiać czoła wszelkim trudnościom. Nieraz jest ona zagrożona, bo częsty widok dużych atrakcji uodparnia i znieczula. Może zabraknąć zdumienia i emocji, wtedy człowiek łatwo ulega zubożeniu i ego-

tyka przestaje go bawić. Osobiście w znanym mi regionie zawsze staram się szukać czegoś nowego. Nie odmierzam życia liczbą oddechów, lecz – tak jak mówił Olgierd Budrewicz – chwilami, które tego oddechu pozbawiają.

Rzyzko wpisane jest w mój kontrakt z przygodą i nie wstydę się przyznać, że strach jest nieodłącznym partnerem w moich wędrówkach. Ci, którzy boją się ryzyka, nie poznają nigdy smaku przygody, podobnie jak ci, którzy nigdy nie odczuli głodu, nie wiedzą, co to jest radość jedzenia. Podróżnik przypomina nieco marynarza, który zaskoczony przez tajfun wśród niebezpiecznych raf koralowych modli się żarliwie i obiecuje solennie,

znanych Indian, którzy strzelali z łuku do helikoptera. Rok później dotarłem do jednego z ostatnich sanktuariów pierwotnego świata w Papui Zachodniej, gdzie w niespenetrowanej bagiennej dżungli spotkałem Korowajów żyjących niczym nasi prehistoryczni przodkowie. Wśród antropologów panuje pogląd, że nie należy strzec plemion tubylczych. Wystarczy pozostawić je własnemu losowi, aby egzystowały tak jak dotychczas i same decydowały o nawiązaniu z nami kontaktu.

Wyzwanie. Przygoda zawsze stanowiła dla mnie kuszące wyzwanie. Realizowałem młodzieńcze sny w świecie często jeszcze niezmiennym od jego zarania. Chociaż

otoczone nimbem zagadkowości tepui, góry o płaskich wierzchołkach, opisane przez Conan Doyle'a w „Zagubionym świecie”. Było to przeżycie niezwykle, bo miejsce stanowiące temat legend, które autor znał tylko ze słyszenia, ja podziwiałem osobiście.

Zwierzęta. To nieprawda, że nie lubię zwierząt. Mam zdrowy, życzliwy stosunek do dzikiej zwierzyny na wolności. Na pewno nie przepadam za kotami, a od 1975 r. omijam z daleka psy. Dlaczego? Po przepłynięciu Atlantyku byłem zaproszony w Georgetown na kolację. Kiedy wjeżdżaliśmy na posesję, gospodarz ostrzegł, żebym się nie ruszał, bo psy muszą mnie najpierw obwąchać. Wysiadłem



Mieszkańcy Papui Zachodniej zawsze mieli opinię okrutnych wojowników

że to już jego ostatni rejs. Po minięciu zagrożenia zapomina o przyrzeczeniach, bo wyprawa w daleki świat to bogactwo niepowtarzalnych doznań pozostawiających głęboki ślad w psychice człowieka.

Uważam, że w niedostępnym interiorze Amazonii i Nowej Gwinei wciąż jeszcze żyją mało liczne grupki koczowniczych tubylców unikających kontaktu z naszym światem. W 2008 r. w brazylijskim stanie Acre natknęto się na grupę nie-

stąpam twardo po ziemi, to fantazja mnie nie opuszcza. Żyjąc na granicy snu i rzeczywistości, w miejscach, o których mało było wiadomo, doświadczałem chwil strachu i nadziei, zniechęcenia i egzaltacji. Tego, co wyniosłem z pasjonujących dzieł Stevenсона, Londona czy Defoe, mogłem dotknąć własną ręką, zweryfikować prawdziwość faktów wyrosłych z fantazji niektórych autorów. Byłem często tam, dokąd nie dotarli podziwiani przeze mnie bohaterowie tych opowieści. Kiedyś w Wenezueli wspiałem się na

na jego sygnał i w tym momencie dwa rottweilery nieoczekiwanie się na mnie rzuciły. Zanim ich właściciel zdążył zareagować, poczułem kły w okolicach przyrodzenia. Natychmiast ruszyliśmy do szpitala i kiedy leżałem na stole operacyjnym, z wesołego nastroju czarnoskórych pielęgniarek wywnioskowałem, że moja męskość nie ucierpiała. Dopiero wtedy minęły chwile obywatelskiego strachu.

—Jacek Pałkiewicz
Członek rzeczywisty Królewskiego Towarzystwa Geograficznego w Londynie